



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecienny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecienny.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczty: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecienny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.



Dziewczynka i królik.

— Dnia 22 Maja (3 Czerwca) r. b.
o godzinie 8-ój rano, spoczęła w Bo-
gu NAJJAŚNIEJSZA CESARZOWA
MARYA ALEKSANDRÓWNA.

Dziewczynka i królik.

„O! ty mój miły, o! ty mój mały
O! ty mój śliczny króliku biały!
Zostań ty u mnie,” dziewczynka powie—
„Ja cię strzedz będę, jak oka w głowie!
Kot cię nie schwyli w ostre pazurki,
Będziesz miał mleko, tort, konfiturki...
Lubisz sałatkę?... Dobrze. Co rano
Dostaniesz główkę świeżo urwaną
Z mego ogródka, a dla ociełody,
Sama ze zdroju zaczerpnę wody.
Przy swem łóżeczku, na dywaniku,
Ja ci pościelę, mój ty króliku;
A na „dobranoc“ dam tobie buzi
I tak zaśpiewam, jak mama Rózi.
Będę cię chować bardzo rozumnie,
Tylko ty zostań, ach, zostań u mnie!”

„O! panienczko—królik odpowie,
„Niechaj ci Bóg da szczęście i zdrowie,
Za twe tak dla mnie pocziwe chęci,
Które zachowam zawsze w pamięci...
Lecz ja za żadne w świecice salony
Nie dam kryjówki swej ulubionej;
Zamiast łakocie jeść z twego stołu,
Wolę żyć z bracią moją pospołu
I nad zdrojową z ręki twej wodę
Wolę..... swobodę!”

Jaskółka.

DRAMAT NA PENSYI.

Komedyjka w jednym akcie i dwóch

obrazach

przez

Zofię Hauke.

(Dokończenie).

SCENA VIII.

GRZESIO (wbiega z przeciwnej strony, trzymając motyla w rękę). Śliczny motyl... dobrze, chodź tu wasze do pudełka (wyjmuje z kieszeni pudełko i chowa motyla) na dziś nie zły początek... ot i drugi jeszcze ładniejszy... (chce go złapać)... odleciał... szkoda... (uganiając się za motylem zbliża się do ławki i spostrzega zeszy-

ty). Jakieś papiery... świecą się jak złoto... (ogląda je) przesłiczne!... przydadzą mi się do oklejania moich pudełek na motyle (obdziera niektóre okładki) różowy, niebieski, żółty... zapewne nie potrzebne, kiedy tu leżą... oj, oj... a gdyby... ktoś nadchodzi... gotowi mnie złać panowie uczniowie... za uszy wytargać, oni mię nie pożałują... najlepiej wszystko zagarnę i schowam do kuferka, mądry kto zgadnie, co się z nimi stało, (odbiega).

SCENA IX.

FRANUŚ, później BOLEŚ i Ignas.

FRANUŚ (trzyma różno-kolorowe wstążeczki w rękę). Śliczne wstążeczki; przewiążę nimi zeszyty, żeby mi się tylko zgrabnie udały kokardki, jakżeż to pięknie będzie wyglądało... (zbliża się do ławki), gdzież się podziały?... zapewne Boles wziął je do klasy, właśnie i on nadchodzi...

BOLEŚ. Już czas, żebyśmy miejsca zajęli, przychodzę po ciebie i po twoje zeszyty.

FRANUŚ. Moje zeszyty, gdzież są?...

BOLEŚ. Zostawiłem je tutaj, oddaliwszy się tylko na chwilkę, bo mnie nauczyciel zawołał.

FRANUŚ. Na ławce ich niema.

BOLEŚ (szukają obydwa). Co to może znaczyć? nikogo tu z uczniów nie było, wszyscy są oddawna na górze w klasie, ach! przypominam sobie... Ignas... on je przez złość zapewne schował!...

FRANUŚ. Co mówisz, Bolesiu?...

BOLEŚ. On niezawodnie, był tu sam jeden przed chwilą, (do wchodzącego Ignasia), Ignasiu, wszak prawda, żeś wziął zeszyty Franusia? (Franus oddala się i szuka zeszytów).

IGNAS. A mnie co po nich? wszakże mam swoje.

Głos za sceną.

Uczniowie do klas!

BOLEŚ. Ignasiu, przyznaj się, przyznaj, to żart, figiel.

IGNAS. Nie ja tu słynę z figlów w szkole.

BOLEŚ. Przymawiaj mi jak chcesz, Ignasiu, przyganiaj, wszystko zniosę od ciebie w tej chwili, ale tu nie o mnie idzie, tylko o Franusia, o jego zeszyty, o jego honor.

IGNAS. Honor, zeszyty, co ty za głupstwa pleciesz? (chce odejść).

Głos za sceną.

Uczniowie do klas!

BOLEŚ (zatrzymuje go). Ignasiu, czas na-
gli, zaklinam cię, przyznaj się.

IGNAŚ (wyrwując się). Dajże mi pokój,
czyż niesłyszales, że do klas wołają? (odcho-
dzi).

FRANUŚ (zbliża się do Bolesia). Naprózno
szukam wszędzie, nigdzie ich nie ma.

BOLEŚ. Ach ja nieszczęśliwy, to z mojej
winy.

FRANUŚ. Biedna moja matka, czuję, że ten
wypadek odjął mi zupełnie śmiałość, na któ-
rąbym się mógł zdobyć.

BOLEŚ. Ignas niegodnie, szkaradnie po-
stąpił, biegnę, wyjawię w obec zebranj pu-
bliczności tak nieszlachetny postępek.

FRANUŚ (zatrzymuje go). Nie czyni tego,
Bolesiu, oskarżać kolegę, posądzać go, na to
nie zezwolę. Kto wie, czy Ignas zawinił;
wszyscy mamy wady i Ignas je ma, ale dotąd
nigdy się nie dopuścił żadnej nieczemności.

BOLEŚ. Sądzisz o nim po sobie, Franusiu.
Ja myślę, że on do wszystkiego złego zdolny;
nie zatrzymuj mnie dłużej... (Franus trzyma go
za rękę), zważ, że nagroda ominąć cię może...
wiedz, żeś ty ubogi... zapis...

FRANUŚ. Już widać nie ma w tém woli
Bożej, biedna moja matka!... jednakże nie
pozwolę nigdy, żeby z mojej przyczyny Ignas
był publicznie zawstydzony; wystawić kole-
gę na taką niesławę, nie, nigdy, daj mi sło-
wo, Bolesiu, że o tém nikomu nie powiesz.
Później, zobaczymy, jeśli rzeczywiście wi-
nien, to sam na sam wyzna swoją winę, ale
nie w obec rodziców, uczniów, nauczycieli i
publiczności.

BOLEŚ. Rozczulasz mnie, Franusiu, muszę
przystać na wszystko, czego żądasz odemnie,
ale zapowiadam, że po egzaminie nauczycieli
o wszystkiem zawiadomię.

Głos za sceną.

Uczniowie do klas!

BOLEŚ. Po raz trzeci—chodźmy, Franusiu.

FRANUŚ. Boże, dodaj mi odwagi, abym to
zniósł—biedna moja matka!—(odchodzą).

KONIEC I-GO OBRAZU.

O B R A Z II-gi.

SCENA I.

NAUCZYCIEL SAM (wchodzi zamyślony). Nie
pojmuję, co się stało z Franusiem—bożazli-
wszy niż zwykle, odpowiedzi jego były nie-
pewne, lży, które na prózno chciał ukrywać,
nie uszły mojej baczności, a co jest najdzi-
wniejsze, nie pokazał żadnego zeszytu—zape-
wniał mnie jednak przedwczoraj, że wszyst-
ko ma w pogotowiu, nie czytał żadnego wy-
pracowania, on co chlubę przynosi memu za-
kładowi, dziś zawiódł moje oczekiwanie—wi-
dę, że trzeba go było pilnować, tak jak in-
nych uczniów, na każdym kroku. Zdaje się,
że Ignas otrzyma nagrodę, chociaż dotąd
wszyscy byliśmy przekonani, że jeden tylko
Franus zasługuje na nią. Muszę koniecznie
wykryć, co to ma znaczyć, wybadać go na
osobności—ktoś nadchodzi, może on, nie—to
Boleś.

SCENA II.

BOLEŚ. Panie profesorze, zdrada, już dłu-
żej wytrzymać nie mogę.

NAUCZYCIEL. Cóż takiego? zatrważasz mnie.

BOLEŚ. Oto mamy między sobą ucznia
niegodnego, który chcąc pierwszą nagrodę o-
trzymać, podstępem utorował sobie do tego
drogę, zniszczył zeszyty Franusia.

NAUCZYCIEL. Co mówisz, Bolesiu, takie
posądzenie... czy masz dowody?

BOLEŚ. Mam, panie profesorze, jak najoczy-
wistsze, że Ignas zdradził, zgubił Franusia.

NAUCZYCIEL. Zastanów się, Bolesiu, nad
tém, co mówisz; być oszczercą jest równie
niegodnie, jak dopuścić się haniebnego czynu.

BOLEŚ. W tej sprawie niczego się nie bo-
ję, jestem pewny swego, oto wszyscy kole-
dzy, zwołałem ich tu, aby wraz zemna
magali się sprawiedliwości, kary dla
wajcy — o wszystkiem ich uwiadom-
scy są oburzeni na Ignasia.

SCENA III

Ciż SAMI I U

UCZNIOWIE. Tak, t
zamy Ignasia.

NAUCZYCIEL. Jakaż zawziętość! niepochwalam tego, moje dzieci, często pozory są mylne, zważcie, jaką krzywdę wyrządzacie Ignasiowi.

UCZNIOWIE. On zawinił, Boles wie o wszystkim.

NAUCZYCIEL. A więc mów, Bolesiu.

BOLES. Przed samym egzaminem matka Franusia przyjechała z Warszawy i była tutaj. Franus jej pokazywał swoje zeszyty, a chcąc matkę do bramy ogrodowej odprowadzić, polecił mi, żebym miał oko na nie. Skarb to był prawdziwy, wszystko ślicznie pisane i w największym porządku. Pan profesor w tej chwili zawołał mnie na górę, pomyślałem sobie: wrócę tu zaraz, nie ma żadnej obawy, wszyscy uczniowie są w klasie i rzeczywiście wszyscy tam byli zebrani, jeden tylko Ignas przechadzał się po ogrodzie i na własne oczy widziałem, że w rękę trzymał zeszyty Franusia.

NAUCZYCIEL. Cóż dalej?

BOLES. Ani wątpić, on to je zniszczył, przekonawszy się, że daleko lepsze od jego własnych.

NAUCZYCIEL. Czy widziałeś, jak je darł, niszczył?

BOLES. Nie, ale...

SCENA IV.

Ciż SAMI, IGNAŚ, później FRANUS.

IGNAŚ. Panie profesorze, jestem w rozpacz, Boles wszystkich kolegów i domowników przeciw mnie podburzył, wszyscy, wszyscy czynią mi wyrzuty, a ja jestem niewinny, daję słowo honoru.

NAUCZYCIEL. Nie wspominaj o honorze, w twoim wieku to słowo nie powinno być tak lekkomyślnie wymawiane.

IGNAŚ. Jednakże...

NAUCZYCIEL. Chciałbym wierzyć i spodziewam się, żeś niewinny, Ignasiu, lecz sam przyznaję, że oskarżenie jest ciężkie, a wszelkie dowody są przeciw tobie, powiedz cośkolwiek w swoją obronę?

IGNAŚ. Przyznaję, że na kwadrans przed egzaminem przechadzałem się

po ogrodzie i widziałem, że Boles w rękę trzymał zeszyty Franusia,

które mu zarazem zostały zawołano.

IGNAŚ. To prawda, piękne pismo mię zadziwiło; nigdy się niespodziewałem, że Franus, który dotąd mniej wprawy miał odemnie, tak prędko mię przeszedł... pozazdrościłem mu tak wielkiego postępu.

BOLES. A więc przyznajesz się?

IGNAŚ. Tak, do nagannego uczucia, ale nigdy do czynu haniebnego; odwołuję się do kolegów, czy ktokolwiek sądzi, że zdolny jestem dopuścić się takiego postępków? (milczenie). Boże! cóżem uczynił, czémże zasłużyłem na takie posądzenie? na taką niezyczliwość? (ociera oczy z boleścią).

FRANUS (który wszedłszy przy końcu tej sceny stał w głębi, zbliża się do Ignasia). O nie Ignasiu, ja cię nie obwiniam, Boles i koledzy uniesieni dla mnie zbytęczą przychylnością, posadzają cię niewinnie, to być nie może, aby mój krewny, kolega, choć współzawodnik, splamił się takim czynem.

IGNAŚ (rzuca mu się w objęcia). Ocalasz mnie, Franusiu, niespodziewałem się od ciebie tyle szlachetności, kiedy ja dokuczałem ci nieraz swoją zarozumiałością—ale poprawić się można, niesplamiwszy się złym czynem; mam nadzieję, że koledzy sprawiedliwość mi oddadzą skoro prawda na jaw wyjdzie. Co się tyczy nagrody i sukcesyi, zrzekam się jej, gdyby mi ją nawet przysądzono, Franus jeden na nią zasługuje. Zeszyty jego koniecznie znaleźć się muszą.

SCENA V i ostatnia.

Ciż SAMI, WICUŚ I GRZESIO.

WICUŚ (trzymając Grzesia za uszy). Wiwat! są wszystkie! oto winowajca.

WSZYSCY. Grzesio!

GRZESIO (wyrывая się z ręki Wicusia). Aj, aj, co pan robisz? z przeproszeniem W-go pana profesora, muszę powiedzieć na swoje uniewinnienie, że zawsze słyszę, jak pan profesor łaje panów uczniów, iż książek i zeszytów swoich wcale nie szanują, myślałem więc, że nie na tém nie tracą piękne zeszyty, jeśli w lepsze ręce się dostaną.

NAUCZYCIEL. Wykręcasz się, Grzesiu, to nie dobrze, spodziewam się jednak, że w duszy żałujesz swego postępków.

GRZESIO. Prawda... święta prawda... ale

cóż... zastanowienie przyszło, kiedy się już złe stało; właśnie myślałem nad tē, jak z tēj biedy wybrnąć, kiedy pan Wincenty ni ztąd ni z owąd stanął przedemną i ostro spojrzawszy mi w oczy, zapytał, czym gdzie nie widział zeszytów pana Franciszka... ja zaraz przyznałem się do winy i oddałem, co nie moje.

NAUCZYCIEL. Dobrze—idź z Bogiem, ale pamiętaj, żebyś nigdy tego więcej nie robił. Cudza własność, choćby na pozór najmniejszej wartości nie miała, jest rzeczą świętą, nie sobie potajemnie przywłaszczać nie mamy prawa. Ten, co za młodu dopuszcza się takiego grzechu, może się później stać winowajcą.

GRZESIO (kłaniając mu się do nóg). O, już nigdy więcej tego nie zrobię, żal serdeczny czuję i wstyd, żem tak źle postąpił. Przepraszam pana profesora i wszystkich panów uczniów, (odchodzi)

IGNAŚ. Bogu dzięki, jestem uniewinniony.

FRANUŚ. A ja się cieszę, że chociaż żalem uniesiony, nie dałem się uwieść pozorom.

BOLEŚ (nieśmiało). Przebacz, Ignasiu.

UCZNIOWIE. I nam także, (otaczają Ignasia, który ręce im podaje i ściska się z nimi serdecznie).

IGNAŚ. Nie mogę mieć urazy do was, bardzo jestem szczęśliwy w tej chwili.

NAUCZYCIEL. To dzisiejsze zdarzenie niech będzie dla was nauką, prawdziwy dramat się z niego wywiązał. Te przygody waszego dzieciństwa, na pozór nie wielkiej wagi, na przyszłość mogą mieć wielkie znaczenie. Ciebie, Bolesiu, bardzo pozory złudziły, nie wierz im nigdy, tysiące napotkasz w życiu wypadków, gdzie się mylnemi okażą, a nie zawsze prawda tak łatwo jak dziś wykryć się zdoła. Ty, Ignasiu, gdybyś był uprzejmym, zgodnym, pobożającym, nigdybyś nie uległ osądzeniu, widzisz co znaczy opinia. Ty zaś, Franusiu, najlepiej wyszedłeś na swęj szlachetnej ufności; nieszczęśliwy, kto nikomu niedowierza.

Teraz wróćmy do klasy. Zeszyty Franusia łatwo do porządku doprowadzić się dadzą; one poświadczą o jego pilności—tego tylko brakło, ~~ażby mu ostatecznie przysądzić~~

stało prawo zapisu i uzyskania pierwszej nagrody.

K O N I E C.

Góral Kalabryjski.

Rysunek nasz przedstawia młodego pastuszka z gór Kalabryjskich we Włoszech. Lud górski zwykle odznacza się siłą i zdrowiem, chociaż jest ubogi i na małym poprzestawać musi. Jedynym bogactwem górali są trzody, bo stoki gór sposobniejsze są na pastwiska, niż do uprawy roli. Ale lud ten, żyjąc bardzo skromnie, nie znając żadnych zbytków, posiada jednak skarby, których mu pozazdrościć mogą mieszkańcy miast; zdrowe i czyste powietrze, wyborną wodę i widok pięknej przyrody. Ten pastuszek przedstawiony na naszej rycinie ma na sobie grubą, prostą sukmankę, a skromny swój kapelusik przyozdobił gałązką dzikich kwiatków; wygląda jednak wesół i szczęśliwy, bo jest zadowolniony z tego co ma, nie pragnie ani kosztownego stroju, ani wygódek, lub wymyślnych pokarmów. Owce dostarczają mu nabiału, za wełny ich matka lub siostra starsza przyrządza mu odzienie, ze skórek ma obuwie, a kapelusz filcowy, wytrwały na wszelkie niepogody, wystarcza mu na lat kilka. Tak też i każdy człowiek na tym świecie, o tyle tylko może być szczęśliwy, o ile z losu swego jest zadowolniony, nie pragnie tego, czego osiągnąć nie może i spełnia sumiennie swoje obowiązki.

Podania ludowe o kukułce.

— Proszę taty o pieniądze—mówiła dziewięcioletnia Józia.

— I ja proszę—mówił młodszy jęj braciszek.

— I ja! i ja—mówiły inne dzieci.

— A na cöz wam wszystkim pieniądze?—pytał ojciec.

— Taka piękna pogoda; mama obiecała nam dzisiaj spacer do lasku, a tam z pewnością usłyszymy pierwszy raz kukułkę, bo już

ją Marcinowa słyszała. Jeśli będziemy mieli z sobą pieniądze, to już nam ich przez cały rok nie zabraknie.

— Oj, dzieci, dzieci wy jesteście! Proście mamy, żeby przygotowała drobnych pieniędzy. Pójdziemy wszyscy; każde z was dostanie kilka groszy, a jak będziemy powracali do domu, to dacie te pieniądze kalece, co siaduje pod figurą. On będzie modlił się za was, abyście coraz byli bogatsze t. j. abyście coraz byli lepsze i rozumniejsze.

Piękny dzień majowy chylił się ku wieczorowi, gdy dzieci uszczęśliwione zbliżały się z rodzicami do lasu. Przechodzili ścieżką po skraju łąki szmaragdowej, dalej—przez rów szeroki po kładce i zatrzymali się pod samym laskiem na wzgórku, pokrytym murawą i krzaczkami. Tutaj dzieci zaczęły uganiać się za motylami i zbierać kwiatki, zapomniawszy o pieniądzach i kukulce; rodzice zaś usiedli w cieniu na brzegu lasku. Jakże tu było pięknie! Cała okolica kąpała się w złotych promieniach słońca; smugi słoneczne, pomieszane ze smugami cienia, tworzyły piękną grę światła. I ptaszki radowały się, śpiewając wesoło.

Pomęczone dzieci już zbiegać się zaczęły do rodziców, gdy rozległ się głos: kuku, kuku! Teraz dopiero przypomniały sobie o pieniądzach, które im też mama rozdawać zaczęła. Zmartwienie ztąd było wielkie. Jedna tylko Józia, jako najstarsza i najmniej zapewne wierząca w taką przyczynę bogactwa, nie martwiła się; a nawet zaczęła pocieszać młodsze rodzeństwo mówiąc, że kukulka nie może nam zapewnić bogactwa, ale zato przyszłość przepowiedzieć może. Rachujcie! Ile razy kukulka się odezwie, tyle lat żyć będziemy. Dzieci zaczęły liczyć, ale się wnet pomyliły, bo myślały o tem, ileto lat opuściły, nie licząc od początku kukania. Potem pobiegły w las, bo im się koniecznie zdawało, że to ktoś, ukryty za drzewami, żarty sobie stroi, mówiąc: kuku, kuku! Powróciły z niczem.

— Proszę ojca, Marcinowa mówiła, że kukulka, to dziewczyna przemieniona w ptaka i dla tego głos jej tak do ludzkiego podobny. Kiedy jeszcze Pan Jezus w postaci sta-

ruszka chodził po ziemi, przyszedł po kolen-dzie do jednej chaty; powiedział *pochwalonego*, gospodyni odpowiedziała jak należy, opatrzyła staruszka; on się pomodlił, podziękował i z błogosławieństwem wychodził, a wtem, za piecem schowana dziewczyna woła: kuku!—Zartujesz ze starszych, powiedział dziadek, to kukaj teraz ciągle. Ta dziewczyna zamieniła się w kukulkę.

— Podanie to—rzekł ojciec—tak samo rozumieć potrzeba, jak podanie o kani, o bocianie i wiele innych; ono mieści w sobie ważną dla dzieci naukę, aby nigdy nie ważyły się stroić sobie żartów ze starszych, choćby nawet w niewinnej myśli. Tylko z równym sobie pożartować można. Czy myślicie, że i innych podan o kukulce nie ma.—U Litwinów opowiadają o siostrze i trzech braciach. Rodzeństwo to kochało się bardzo i opływało w dostatki; było szczęśliwe, szczególniejsza siostra kochała braci. Ale poszli oni na wojnę i wszyscy trzej zginęli, wtedy siostra zrozpaczona pobiegła do lasu na pobożowisko i rzewnie zawodziła i już nie chciała powracać do domu; bogowie ulitowali się nad jej żalnością i zamienili ją w kukulkę, aby mogła zostać w lesie i ciągle żalić się na swój smutek. W różnych pieśniach ludowych jest mowa o kukulce. W kilku pieśniach jest mowa o rycerzu, który poległ, przy nim kukają trzy kukulki: jedna kuka przy nogach i płacze,—druga kuka przy głowie co rano i co wieczór i płacze krwawemi łzami, aż krwawa krynica pocięła,—trzecia przy sercu kuka bezustannie, kuka przez godziny, dni i lata, i płacze krwawemi łzami, aż krwawa rzeczka pocięła. Kukulka przy nogach—to żona, przy głowie—to siostra, przy sercu—to matka.

Zamyśliły się dzieci, a gdy rodzice powstali, zabierając się do odejścia, nie prosiły, aby dłużej pozostać. W drodze była mowa pomiędzy rodzicami, na jaką intencją każde z dzieci da jałmużnę: Józia—na intencją mniejszej gadatliwości, Kazio—na intencją większej uwagi, Maniusia—mniejszego roztargnienia, a najmłodszy Felus—mniejszej płaczliwości. Nie dowierzały temu dzieci i oddały swoje pieniądze kalece, nie wyliczając mu przywar swoich. A może i od tego

czasu stały się lepsze, bo lepiej rozumieją smutek i nieszczęście, bo więcej kochają, bo zasługują na większą miłość rodziców i ludzi.

Władysław Nowicki.

Kłopoty Starszeństwa.

P O W I A S T K A

dla starszych siostrzyczek.

I.

— Stasiu! Maniu! Ludko!—co to jest? cóż wy tak spokojnie siedzicie? wypiliscie kawę? to zjeść mi zaraz resztę ciastek z talerza i zabierać się do ogrodu. Nie cierpię niedorośliwych ludzi udających powagę; obawiam się aby gdy podstarzeją, nie zachciało im się udawać młodości. Wszelkie udawanie jest śmieszne, a każdy wiek ma swoją prawa. Dalej do ogrodu! poswawolić!

Tak wołała na nas moja mama, zabierając się z ciotką do jakiegoś ważnego krajania; a na to rzecze Ludka, moja cioteczna siostrzyczka, która lubiła istotnie udawać dorosłą pannę, chociaż miała prawie tak samo jak ja, lat trzynaście dopiero.

— Ciotunia wypędza nas, proszę mamy, nie chce na nas patrzeć; uprzykrzyłyśmy się widać od rana, to już lepiej odjedźmy sobie do domu.

— Zaraz też odjedziemy, tylko ja sobie przy ciotuni suknię ukroję, bo przecież po to przyjechałam tak rano—odrzekła matka Ludki i rozpostarła na dużym stole materyał jakiś ciemny wełniany. Obie mamy stanęły nad nim jedna z kredą w ręce, druga stukając palcem po czole w namysłach—dwie pary nożyczek i bawełna do fastrygowania leżały między niemi. Wzięłam talerz z ciastkami i poczęstowałam Ludkę i Stasia, naszego krewnego, studencika z piątej klasy, który u ciotki bawił przez lato, przebierał się po cywilnemu, chodził tak, że szklanka z wodą ustałaby mu na głowie, a gdy go kto o jego nauki w Warszawie zapytał, odpowiadał tak sztucznie iż możnaby przysiąc, że on już jest w uniwersytecie, choć tego wyraźnie nie powiedział.

Zabieramy więc ciastka i wynosimy się do ogrodu przez drzwi szeroko otwarte, a w tém pięcioletnia Ziunia, siostra Ludki, porzuca Bronię, z którą się dotąd bawiła i biegnie za nami, pytając nieśmiało:

— A ja? czy to ja nie mogę pojsć ze starszemi panienkami?

— A weźże siostrzyczkę, Ludko, ona tak pragnie zaszczytu towarzyszenia wam—wołała mama Ludki. Ludka skrzywiła się trochę, ale skinęła na Ziunię, że może iść z nami, więc Ziunia poskoczyła ku nam, bo towarzystwo panien trzynastoletnich wielce jej pochlebiało; a w tém dał się słyszeć ów płacz nagły i gwałtowny, ale nie przeraźliwy, który dzieci pieszczone mają na zawołanie, ilekroć stanie się coś przeciw ich woli:

— Be, be, be!—to Bronia, dwuletnia moja siostrzyczka, zapłakała nagle, wyciągając rączki za Ziunią, z którą lubiła się bawić, jako ze starszą, tak samo, jak Ziunia znów lubiła bawić się z nami.

— A weźcież i to biedactwo, bo się zateśni za wami—zawołała nasza mama, ściskając Bronię, która też, dopiąwszy swego, zaraz płakać przestała i przydreptawszy do nas z końca salonu, przyczem dwa razy tylko się przewróciła, wsunęła swoją rączkę w moją rękę, odwracając się z dumą od Ziuni, która przed chwilą porzuciła ją dla nas. Stara nianka Broni, pocziwa ale nudziarka, poszła za nami stękając i mrużąc, że ani chwili człowiek spokojnie na miejscu posiedzieć nie może.

— Ale niech tam starsze siostry uważają na dzieci, bo nianusia pewno się zdrzemnie, siadłszy gdzieś swoim zwyczajem—zawołała mama za nami.

— Szczególniej do uli nie pozwalajcie się małym przybliżać—dodała ciotka. I poszliśmy.

— Otóż to tak zawsze: mam nie być poważną, mam poswawolić, ale przytém mam oka nie spuszczać z Ziuni i odpowiedzialną jestem za wszystko, co ona zbroi. Doprawdy, ja sama nie wiem, czy ja jestem dzieckiem, czy panną dorosłą i co mam robić z sobą, żeby wyglądać i postępować jak należy—tak mówiła Ludka, prowadząc Ziunię za rączkę

i postępując wraz z nami najszerszą aleją naszego ogrodu przed dworem.

— Ha, trudno; to już wiek nasz ten nie-

przycupnęła pod domem. Obie byłyśmy w złym humorze, gdyż miałyśmy sobie tysiące rzeczy do zwierzania, nie widziawszy się



Kłopoty starszeństwa.

znośny winien jest temu; ni to, ni owo; nie jest się dorosłą, a kłopotać się trzeba nieraz, jak najdoroslejsza—powiadam ja, chwytając wywracającą się Bronię, której nianka już

od wczoraj; a tu kazano nam oglądać się bezustannie za dziećmi, żeby które nosa nie zbilo, lub między pszczoły nie poszło. Stasio rozumiał to dobrze, bo wiedział, że ja

i Ludka byłyśmy przyjaciółkami od serca; ale że koniecznie chciało mu się być dowcipnym, więc rzekł złośliwie, gdyż wymuszone dowcipkowanie jest zawsze złośliwością:

mniejsza, gdyż mali chłopcy umieją czasem tak dogryźć starszym siostróm swawolą i nieposłuszeństwem, że się mogą naprawdę uprzykrzyć: można więc nie bardzo lubić opie-



Pastuszek Kalabryjski.

— Panienci, jak uważam, coś niebardzo lubią zajmować się dziećmi...

Ludka zarumieniła się jak wisnia; mnie także, jakby ukropem oblał, bo gdyby to chodziło o młodszych braciszków, to jeszcze

kować się niemi; ale nie lubić się zajmować siostrzyczką, to znowu inna rzecz, na to trzeba już być samej złą siostrą. To też Ludka powiedziała zaraz podnosząc nosek w górę:

— Zapewne musimy zasługiwać na tak

niekorzystne o nas mniemanie, kiedy pan Stanisław tak mówi. — Musiała i ona uczuć do żywego jego złośliwość, kiedy nazwała go *panem*, ona, która była z nim w tak dobrej przyjaźni, że raz, czego on jęj nigdy nie zapomniał, nazwała go — osłem...

— Ależ ja nie twierdę stanowczo, ja tylko tak niby pytałem — rzekł Stasio copleńdziej.

— Dalibyście też raz pokój tym waszym gniewom — odzywam się ja na to — niech sobie Staś mówi, co chce, bo on może i nierozumie nawet tój rzeczy; ja tam szczerze powiadam, że chociaż Bronię kocham z całego serca, to mi ona przecież czasem porządnie dokuczy i skłopotuje mnie ciężko.

— Dokuczy? dwuletnie dziecko? takięj pannie dorosłęj? a! ciekawym jak to być może?..

— Jak? oto tak, że ty nierozumiesz rzeczy, o któręj mówisz, co ci się nie pierwszy raz zdarza — powiedziałam rozgniewana jego dowcipkowaniem, bo choć on niby nie złęgo nie mówił, to jednak mówił to wszystko ze złośliwą żartobliwą miną i z przyciskiem na wyrazach „pannie dorosłęj”. Ale on był zawsze dobrym braciszkiem, jak jest do dzisiaj; jak tylko spostrzegł, że któręj z nas dokuczył zanadto, zaraz się starał rzecz naprawić, rzekł więc i teraz.

— Ależ, moje siostrzyczki drogie, nie gniewajcie się na mnie, bo ja naprawdę tego nie rozumiem, jak małe dziecko i to jeszcze takie dobre dziecko, jak Bronia, może siostrę ciężko skłopotać?..

— Właśnie też dla tego kłopotce, że jest małym dzieckiem.

— Ale Ziunia nie jest małym dzieckiem, a przecież Ludka także biada na nią.

— Bo z Ziunią czasem jeszcze trudnięj dać sobie radę właśnie dla tego, że ona nie jest zupełnie małym dzieckiem.

— Ha, ha, ha! a to wyborne! z jedną kłopot dla tego, że jest bardzo mała, a z drugą dla tego, że nie jest bardzo mała, ha, ha, ha! śmiał się Stasio złośliwie. A ja powiadam na to:

— Tak się to niby śmieszne wydaje, a przecież tak jest: z małym dzieckiem kłopot dla tego, że ono jest małe, a z większym

dla tego, że nie jest już zupełnie małe. — Mnie były przykre trochę owe śmiechy Stasia, ale Ludkę obraziły naprawdę, więc rzekła:

— Dajmy pokój tój rozmowie; są kłopoty, o których nie ma co mówić z panami, bo chyba musieliby na nie patrzeć, żeby je zrozumieć, a oni tymczasem zwykle uciekają od nich. I Ludka zawróciła do sali. Ja poszłam za nią, myśląc sobie, że istotnie bywają czasem kłopoty, których koniecznie trzeba doświadczyć, aby je zrozumieć.

Nieza długo ciocia z Ludką, Ziunią i Stasiem odjechała, a my zajęliśmy się zwykłymi czynnościami.

Nadeszło południe, ojciec wróciwszy z pola zmordowany, aż mu pot ściekał po czole, zjadł obiad i położył się na sofie, by zdrzemnąć przez chwilę, bo wstał o godzinie czwartej z rana i za jaką godzinę znów miał iść w pole. Mama nakręciwszy się po domu, ogrodzie, strychu, piwnicy, kurnikach, oborach, spiżarni i kuchni, znużona była, aż li toś brała patrzeć na nią. Usiadła i głowę na ręce wsparwszy usnęła. Widząc to, wyszłam po cichu przededrzwia pod lipę, ażeby dać baczenie na gospodarstwo i na Bronię, która się tam z nianką bawiła.

Siedzę i szyję, pilnując, aby cicho było; a wtém nianka zaczyna mruzcęć swoim zwyczajem, że się państwo najedli i dziecko najadło i w czeladnięj ludzie jedzą, jeść będą, albo już zjedli, tylko jedna nieszczęśliwa nianka stara musi o głodzie dziecko bawić. Zrozumiałam odrazu, o co jęj chodzi; bo wiedziałam, że ona nie lubi jeść niewygodnie, trzymając dziecko na kolanach, na co nawet i mama nie pozwala, bojąc się, aby dziecku w kuchni jeść nad miarę nie dano. Zazwyczaj w takich razach mama sama zabawia Bronię, albo ja to robię, dopóki nianka nie zje ze wszystkiemi. I teraz też nie pozostawało mi nic innego do zrobienia, jak tylko kazać iść niance na obiad, a samęj zajęć się dzieckiem. I tak zrobiłam. Ale Bronia lubiła chodzić do czeladnięj izby, więc w chwili, gdy nianka znika za drzwiami, dziecko wyciąga za nią ręce, wołając po swojemu: — Be! be! be!

Mnie jakby co w serce ukłuło, bo przecież chciałabym serdecznie, żeby rodzice odpoczę-

li trochę, a w pokoju wszystko słyhać, co się pod lipą dzieje, a z Bronią z pod lipy odejść dalej nie można, bo ztamtąd właśnie na obojście całe najlepiej spoglądać, a tłómaczyć Broni żeby była cicho, także nie można, bo ona za mała na takie tłómaczenia, ją trzeba tylko gwałtem zabawić. Ale jak zabawić? w tém trudność...

Porywam ja pierwszy lepszy kwiatek z fartuszka Broni, siedzącej na trawniku pod lipą, tuż przy domu i głaszcząc ją tym kwiatkiem po bródce, zaczynam recytować następującą rozmowę między kotkiem i gospodynią, udając raz głos gospodyni, drugi raz miauczenie kota:

- Kiziu, Miziu, Kiziu mała,
Powiedz Kiziu, gdzieś bywała!
- Miau! miau! w ogródeczku;
Miau! miau! przy pieseczku;
Piesek mówił: wrrr! hau!
A Kiziuchna: miau! miau!

Wtém miejscu rozmowy Bronia przestawszy krzyczeć, zaczyna się mocno interesować rozprawą gospodyni z kotem, wytrzeszcza oczki, wyciągając do mnie bródkę, a ja, głaszcząc ją ciągle kwiatkiem, mówię coraz surowiej i miauczę coraz pokorniej:

- Ej ty Kiziu, Miziu mała,
Mów gdzieś bródkę umaczała?
Powiedz Kiziu, gdzieś ty była?
- W komóreczce... mleczko piła...
- Toś ty mleko spiła z dzieżki?
A psik! kocie! idź na myszki...
A psik! a psik! a psik!..

Jako poszkodowana gospodyni zaczynam bić kwiatkiem Bronię, z wielkim zamachem, a ona zrozumiaławszy całe zajście między gospodynią i białym kotem szkodnikiem, zaczyna śmiać się z tego bicia, zasłaniając się rączkami i fartuszkiem. Ja chcę wtedy odpocząć trochę, bom się zmęczyła, udając dwie osoby na raz i bijąc kwiatkiem, a w tém Bronia spogląda w przeciwległe okno kuchenne, spozstrzega tam w głębi niankę z łyżką przy ustach i wyciągając do niej ręce, jak nie wrzśnie:—Be! be! be!

- Że też tu na jedną chwilę zdrzemnąć

się nie można... daje się słyseć głos ojca z pokoju, a ja, sama dobrze nie wiedząc co robić, żeby tę chwilę zyskać, stawiam nagle palce prawej ręki na ziemi przed Bronią i maszerując ku niej temi palcami, recytuję znów okropnie grubym głosem taką dramatyczną opowieść, najprzód powoli, potem coraz prędzej, w miarę okoliczności:

Świerszcz-le-zie-po-zie-mi,
No-ga-mi-dłu-gie-mi,
Proś-ciut-ko-do-Bro-ni,
Bo-mu-cha-go-go-ni:
Lézie po trzewiczku,
Lézie po koszyczku,
Po białym fartuchu,
A prędzej co duchu...
Aż tutaj pod bródką,
Nuż biegać prędziutko, prędziutko, prę-
[dziutko!..

I udając świerszcza, biegam prędziutko palcami po szyjce Broni, która śmieje się ze wszystkich sił, kurecząc szyjkę, żeby ją schować przed biegającym świerszczem; śmieje się tak serdecznie i głośno, aż ojciec odzywa się znów na wpół przez sen z głębi pokoju:

— Że się też nie możecie bawić ciszej, moje dzieci...

— Cyt! cicho, sza!..—mówię do Broni.

— A gdzie świerszcz?—pyta Bronia w brylantowym humorze.

— Uciek!—odpowiedziałam. Zaśmiała się Bronia bardzo głośno, powtarzając:

— Świerszcz zląkł się i uciekł, ale niech on jeszcze przyjdzie. No! niech świerszcz idzie!—woła Bronia i zaczyna już bębnić piętami w ziemię, aby świerszcza przynaglić. Nie ma rady, świerszcz musi leżeć i lézie. Ale ponieważ ja mam w tém interes, żeby on do bródky nie dolazł, bo wtedy mógłby znów za głośną wesołość wywołać:

Więc w połowie drogi,
Choć świerszcz zbiera nogi,
Dogania go mucha,
Na środku fartucha,
Za szyję go chwytą
Świerszcz pada... i kwita!

— Co? zadusiła go? mucha zadusiła świerszcza?

— Zadusiła.

— Jak? tak jak biały kot twojego kanarka zadusił?—pyta Bronia podnosząc rączki do góry w bolesném zdumieniu...

— Tak!

— Be! be! be! wrzaśnie na to Bronia z żalu za świerszczem...

— Ha! to nie do wytrzymania!... do stodoły trzeba będzie spać chodzić—jęczy ojciec, zaspanym głosem... Porywam beczącą Bronię za rączkę i obracając ją dłonią do góry, stukam wskazującym palcem w tę dłoń, deklamując taki poemat:

Tu tu tu kokoszka warzyła jagielki,
Tu w około czekały kureczątka—szczygielki,
Uwarzyła kokoszka pelniutki garnuszek,
Założyła każdemu kureczątku fartuszek,
Posadziła przy stoliku

Aż tu kogut kukuriku!
Mnie matusiu! mnie jagielek!
Więc nakładła mu w kubełek,
A temu drugiemu na miseczkę,
A temu trzeciemu w skorupeczkę,
A czwartemu w dzbanuszek,
A piątemu w fartuszek,
Patrzy... aż tu dla kokoszki
Nie ma jagieł ani troszki...
Więc frrruuu! kokoszka biała,
Po więcej jagieł poleciała...

Bronia słucha uważnie, mrugając powiekami i wlepiając oczki w swoją dłoń, na której kokoszka warzy jagielki, a potem roztwierając buzię, goni oczyma ulatującą za jagłami kokoszkę... a wtém we drzwiach ukazuje się nianka już po obiedzie.

— Be! be! be! — krzyknie na jój widok Bronia, wyciągając do niéj ręce.

— Chwycicie dziecko na ręce i uciekajcie w ogród co tchu, żeby się pan choć trochę mógł przespać—mówię ja do nianki, ona chwytą Bronię i ucieka, ale ojciec z jednego pokoju, mama z drugiego wychodzą już właśnie. Ojciec nic nie mówi, tylko za głowę się trzyma, co przecież więcej znaczy dla kogoś, co ma serce, niż gdyby go za hałas połajano. Mamę widocznie ubawiła moja markotna mina, bo się roześmiała, patrząc na mnie i mówiąc:—Cóż się tak skrzywiła, jak środa na piątek!—Ale

nie miała czasu zajmować się mojm zmartwieniem, bo musiała śpieszyć do gospodarstwa. A ja pomyślałam tylko, co to za szkoda, że tu Stasia nie było; przecież raz przekonałby się, jaki to jest czasem prawdziwy kłopot być starszą siostrzyczką.

II.

Tymczasem, gdym wracając do swego pokoju rozmyślała tak o tém wszystkiém, słyszę, że bije druga godzina, a o trzeciej codziennie trzeba mi było być już w Wólce u cioci. Blizko to prawda, bo o miedzę tylko, ale zawsze czas już się było wybierać, gdyż panna Wilhelmina, nauczycielka Ludki, która i mnie uczy, koniecznie żąda, aby wszystko było zawsze „akurat akuratnie,“—panna Wilhelmina jest Niemką.

Włożyłam tedy kapelusz pasterski na głowę, bo nie lubię piastować w ręku parasolki, włożyłam w koszyk książki i zeszyty, pióro przesliczne, całe wyrabiane z kości, ażurowo, z fotografią Wiktora-Emanuela, króla włoskiego nieboszczyka, za szkiełkami, w które patrzeć trzeba, jak w lornetkę; włożyłam całe pudełeczko stałek; kałamarza z sobą nie zabieram, ale włożyłam spory kocioł lalki do prania bielizny, który wraz z całym lalczy-nem gospodarstwem chowam dla Broni, żeby miała się czém bawić, jak troszeczkę podrośnie i rozumu o tyle nabierze, by umiała kosztowniejsze rzeczy cenić. Ja byłabym jój już dawno oddała w spadku całe to gospodarstwo i lalkę samą, ale mama powiedziała, że jeszcze nie warto i kazała schować choć na jakie pół roku; więc schowałam. A kocioł wyjmuję tylko czasem z szafki, kiedy chcę Ziuni zanieść trochę leguminki z obiadu, zwyczajnie jak dla pięcioletniego dziecka. Dla tego zaś biorę zawsze w kocioł nie w co innego, że on jest z całego gospodarstwa największy, więc się przecież cośkolwiek w niego zmieści.

(d. c. n.)

Z DZIEJÓW SŁAWY.

Jerzy Samuel Bandtkie urodził się w Lublinie dnia 24 listopada 1768 r. Ojciec jego

był zamożnym kupcem w tém mieście i wysłał jedenastoletniego syna do Wrocławia, do gimnazyum S-tój Elżbiety. Po chlubném ukończeniu téj szkoły młody Jerzy udał się dla dalszych nauk do Halli i Jeny. W tym czasie niespodziewany upadek majątkowy ojca stanął na przeszkodzie dalszemu kształceniu młodzieńca cheiwego wiedzy. Już z wielkim żalem miał opuścić ulubioną naukę i powracać do domu, gdy stryj jego, szewc wrocławski, dopomógł mu do dalszego kształcenia, łożąc na to koszta z tym warunkiem jedynie, aby z czasem, jeśli mu okoliczności pozwolą, był równie dobroczynnym dla ubogiej a żadnej wiedzy młodzieży. Szlachetny ten przykład tak głęboko utkwiał w sercu młodzieńca, iż dojrawszy na człowieka, stał się dobroczyńcą uczącej się młodzieży i długo nawet się nie żenił jedynie dla tego, aby mieć więcej środków dla wypełnienia tego świętego obowiązku.

Po ukończeniu wyższych nauk Bandtkie przez lat ośm był nauczycielem prywatnym w możnym domu i podróżował z uczniami swoimi do Drezna, Berlina i Petersburga. W r. 1789 został nauczycielem języka polskiego w gimnazyum S-tój Elżbiety w Wrocławiu, w téj samej szkole, której niegdyś był uczniem. Rok 1811 ważnym jest w życiu Bandtkiego, w tym roku bowiem powołany był do Krakowa przez izbę edukacyjną i oddał pracę swoją poświęcił Polsce i piśmiennictwu polskiemu. W Krakowie najprzód objął zarząd biblioteki przy akademii Jagiellońskiej, a ta, można powiedzieć, zawdzięcza mu pierwsze swoje uporządkowanie; nieład jaki tam zastał sam opisuje w historyi téj biblioteki, którą wkrótce uporządkowaną na użytek publiczny oddał, a sam rozpoczął wykłady bibliografii. Oprócz tego był profesorem języka i literatury łacińskiej. Przez lat trzy (1813—1816) był dziekanem wydziału filozoficzno-literackiego. W r. 1819 został obrany senatorem b. Rzeczypospolitej krakowskiej od akademii.

W pięćdziesiątym dopiero roku życia Bandtkie ożenił się ze stryjeczną siostrą swoją i umarł bezpotomnie w Krakowie dnia 11 Czerwca 1835 r. Pozostawił on wiele dzieł uczonych i ważnych, nie tylko w polskim, ale

także w łacińskim i niemieckim języku. Z polskich zwracamy uwagę naszych czytelników na następujące: *Dzieje narodu polskiego*, stanowiące ciąg dalszy napisanej dawniej historyi Naruszewicza, lubo mniej obszerny od tamtej. O tém dziele Bandtkiego powiada uczony Ossoliński: „Jest to jedna z najcelniejszych ksiąg w języku polskim.“

Bandtkie napisał nadto *Historję drukarni w Polsce* w 3 tomach, kilka gramatyk i ułożył dokładny słownik polsko-niemiecki. Miał on jeszcze tę nie małą zasługę, że drukował wiele dawnych zabytków, a tym sposobem wybawił je od zatracenia. Sledził pilnie wszelkie archeologiczne pamiątki, zajmował się wykopaliskami, badał zwyczaj ludu i t. d. Słowem, czy jako poważny historyk, badacz starożytności, etnograf, gramatyk lub bibliograf, na każdym polu nauki dzielnie się krajowi zasłużył.

Piękny hołd oddał pamięci i zasługom Bandtkiego Zygmunt Helcel, sam znakomity prawnik i pisarz, w rozprawie pod tytułem: *Jerzy Samuel Bandtkie w stosunku do społeczności i literatury polskiej*.

ROZMAITOŚCI.

Jubileusz Długosza. W roku bieżącym, w Maju, minęło cztery wieki od śmierci tego znakomitego męża. Rocznica ta solennie obchodzona była w Krakowie, gdzie w tym celu zgromadziło się wielu uczonych, przybyłych z różnych stron kraju, a nawet kilku światłych cudzoziemców pośpieszyło złożyć hołd pamięci wielkiego naszego historyka. Przynależny opowiedzieć czytelnikom naszym o tym obchodzie, śpieszymy więc dotrzymać obietnicy, gdy już dzienniki podały dokładny opis całej uroczystości.

17 Maja, w górnej sali Sukiennic, przybranej świątecznie w chorągwie cechowe i mnóstwo kwiatów, zebrali się dygnitarze kraju, członkowie Akademii, liczni goście i tłumy publiczności. Po samym środku sali stał olbrzymi biust Długosza, przyozdobiony wieniec zielonym. Na wyniosłej estradzie, przy

katedrze, zasiadł hr. Alfred Potocki, namiestnik Galicyi, przy nim dostojnicy Akademii. Wszyscy z kolei przemawiali; odezwał się nawet jeden z niemieckich uczonych, Rocpell, który napisał historią polską w języku niemieckim i gorącemi słowy uczcił zasługi naszego kronikarza. Profesor Szujski, sam znakomity historyk, w długiej i uczonej mowie przedstawił dokładnie wielkie znaczenie prac historycznych Długosza, który przez czas długi nie był należycie oceniony, gdyż kronika jego dopiero na początku XVIII wieku drukiem ogłoszona została, a z historyków późniejszych pierwszy Naruszewicz wielkie jej zalety wykazał. Porównyując tę kronikę z temi, które w tym samym czasie pisane były w innych krajach europejskich, przekonano się, że Długosz stał na równi z najznakomitszymi dziejopisami swojej epoki. Profesor Tarnowski, znany z pięknych odczytów w Warszawie, deklamował przesłiczny wiersz, przesłany z Warszawy przez sędziwego poetę Odyńca.

Dnia następnego odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele na Skalce, gdzie spoczywają zwłoki Długosza. Odmurowano dotychczasowy grobowiec i szczątki umieszczono w nowym, wspaniałym sarkofagu. Tegoż dnia, wieczorem, studenci Akademii odegrali w teatrze, w obec licznie zebranej publiczności, obraz dramatyczny, napisany umyślnie na tę uroczystość przez pr. Szujskiego, pod tyt. Długosz i Kallimach. W dramacie tym występuje cały dwór króla Kazimierza Jagiellończyka, młodzi królewicze i dwaj ich nauczyciele, Długosz i Kallimach, Włoch. Dekoracye były bardzo piękne, stroje z epoki ówczesnej wspaniałe, a młodzi amatorowie wybornie odegrali swoje role, szczególnie ten, który przedstawiał świątobliwego królewicza Kazimierza, huczne pozyskał oklaski. Widowisko zakończyło się obrazem z żywych osób, przedstawiającym apoteozę Długosza, któremu wieniec chwały wkładał na czoło królewicz Kazimierz. Przedstawienie powtórzone zostało nazajutrz na usilne prośby wielu osób, które na pierwsze docisnąć się nie mogły do teatru.

Parę dni z rzędu trwały jeszcze posiedze-

nia uczonych, na których roztrząsano rozmaite historyczne kwestye.

Gra towarzyska.

Wilki i baranek.

Jedna ze starszych pańienek wyobraża *pasterkę*, a jeden z chłopczyków gra rolę *wilka*. Wszystkie inne dzieci są *baranami*. *Pasterka* śpiewa:

Pasterka.

Pójdźcie, baranki moje,
Bądźcie przy mnie zebrane,
Bo dziś wilka się boje;
Pójdźcie, moje kochane,
Na tój łące kwiecistej,
Przy tój rzeczce przejrzystej,
Potanecujemy w okolo,
Poskaczemy wesoło;
Dopóki niema wilka,
Szczęścia będzie chwilka.

Biorą się wszystkie dzieci za ręce, tańcząc w kółko, oprócz wilka, który jest schowany za drzewem wśród krzaków i wtedy gdy najweseliej się baranki bawią, daje się słyszeć niby z daleka głuche i przeciągłe wycie: Au u—Au u,—dzieci zatrzymują się nagle a *pasterka* śpiewa:

Pasterka.

Co to jęczy w oddali,
Czy to wicher się żali?
Czy to słyhać brytana?
Ach! ma trzodko kochana,
Gdzież się z tobą podzieję?
Aż mi serce truchleje...

Daje się znowu słyszeć przeciągłe wycie wilka, coraz bliżej, coraz głośniej.

Pasterka.

Do mnie, do mnie, dzieci,
Niech z was każde przyleci;
Ja was rąbkiem osłonię,
Ja was sercem obronię.

Dzieci trzymają się jedno drugiego za pa-

sterką, najlepiej żeby każde było wstążką przepasane, ażeby się sukienki nie obrywały. Pasterka na wszystkie strony bacznie się ogląda. Wtém z poza drzewa lub z pośród krzaków pokazuje się głowa wilka z iskrzącymi niby oczyma. Baranki stworożone wołają:

Jaskrawe, jak świece,
Migocą źrenice...

Pasterka.

Cichutko, z rozważą,
Lecz z męztwem, odwagą,
Pilnujemy, gdzie skoczysz
I na nas wyskoczysz.

Pasterka rozciąga ręce, żeby zasłonić baranki, które się za nią chowają.

Wilk powoli wysuwa się z ukrycia, przechadza się, niby nie widząc baranków, pasterka ciągle w ruchu, zasłania je sobą.

Wtém wilk nagle rzuca się na ostatniego baranka, chwytając go i stawia za drzewem, jako jeńca swego. Zaczyna się walka coraz żywsza; pasterka ciągle broni baranków i zasłania je sobą, bo ona jest nietykalna dla wilka, nie może być przez niego schwytań. Wilk ciągle goni.

Ale wszystko to powinno się odbywać grzecznie, bez zbytniej swawoli. Skoro wilk się dotknie baranka, ten jest już jego własnością; baranki zaś mogą znaleźć sposobną chwilę, kiedy wilk zajęty jest w innej stronie i uwolnić braci jeńców, także dotknięciem ręki.

Gdy baranki schwyte zostaną przez wilka, gra się kończy, ale walka bywa czasem długa. Jeńcy uwolnieni znowu powracają do boju i gra się tak przeciąga, iż znudzenie obu stron koniec jej położyć musi.

Łamigłówa głoskowa. (Jaskółka).

Z następujących głosek: 4 a—2 b—d—e—2 g—2 i—l—n—6 o—ó—p—4 r—s— ułożyć sześć wyrazów, które oznaczają:

- 1) Szybki ruch konia.
- 2) Rzekę w Hiszpanii.

- 3) Ptaka drapieżnego.
- 4) Nazwę wsii.
- 5) Codzienny posiłek.
- 6) Kryjówkę zwierząt.

Pierwsze litery tych wyrazów, odczytane z góry do dołu, oznaczają nazwisko malarza, zamieszkującego Warszawę—ostatnie, także z góry do dołu, jeden z mniejszych jego utworów.

Łamigłówa kryształowa. (Józef z Drwęcy).

- 1) Litera.
- 2) Podatek.
- 3) Rzecz piękna i pożyteczna.
- 4)
- 5) Miasteczko.
- 6) Owad.
- 7) Litera.

Rząd środkowy i litery środkowe, tworzą nazwisko znakomitego dziejopisa.

Zagadka. (M. Z.)

Zawsze w ukryciu zostaję,
Mam podwójny głos;
To pociechę sercu daję,
To bolesny cios.
Choć są tacy, co nie baczą na przyszły
[swoj los
Ale każdy choć raz jeden usłyszy mój
[głos.

Zadanie arytmetyczne. (Czesław Sobolewski).

Mili czytelnicy, macie tu zadanie:
W pewnej okolicy było polowanie,
Na którym zabito trzykroć więcej lisów,
Anizeli dzików;
A równie od dzików cztery razy więcej,
Zabito zajęcy.
Jeszcze wam to powie, przyjaciel wasz
[szczery,
Że razem zabito sztuk dwadzieścia cztery.
Teraz bardzo proszę każdy niech obliczy,
Ile sztuk każdego jest gatunku dziczy?

Rozwiązania do N-ru 22.

Łamigłówki kwadracikowej:

L	A	M	A
A	M	O	R
M	O	L	E
A	R	E	S

Zadania konikowego:

Tadzio domki z kart budował;

Kazio coraz to dmuchnął i pod stół się
[schował.

—Wiesz, Kaziu—rzekł braciszek—co ja te
[raz zrobię?

Schowam karty w szufladę i dmuchajże
[sobie.

Szarady: Ma—te—ma—ty—ka.

Zagadki: Konika polnego.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Kasi i Rózi D. w Radomiu. Wielkie to dla nas szczęście, gdy słowa nasze, z serca płynące, trafiają do serduszek kochanych naszych czytelników i tak pocziwe budzą w nich uczucia; dzięki Bogu, zdarza się to bardzo często. Rs. 4, zebrane według pomysłu podanego w naszym opowiadaniu, odesłaliśmy do komitetu wsparcia dla Sandomierzan i serdeczne za nie dzięki składamy w imieniu tych nieszczęśliwych A i to nam nie małą sprawiło przyjemność, że liścik tak starannie napisany i taką ładną kaligrafią.

Bronci w Dęblinie. Radzi jesteśmy, że się komedyjka tak podobała; dziwiliśmy się nawet, nie odbierając

o tém żadnej wiadomości, teraz już wiemy dla czego. Mamy nadzieję, że *Wieczory* zawsze z równą przyjemnością będą czytane. Rubel przesłany dla Sandomierzan oddany został niezwłocznie do komitetu.

Felci B. W tym Nrze Pisma kończy się właśnie nowa komedyjka; trzecia to już, którą w tym roku podajemy. W pierwszej występują chłopcy i dziewczynki, w drugiej prawie same dziewczynki, w trzeciej sami chłopcy. Dobraliśmy je tak naumyślnie, ażeby wszystkim dogodzić. Dziękujemy za wiadomość, że się powiastka podobała.

Tadziowi w Horodzieju. Cieszymy się niezmiernie, że kochani nasi czytelnicy tak spieszenie i z taką gotowością odpowiadają na odezwę zamieszczoną w Piśmie naszym, nadsyłając ofiary dla Sandomierzan dotkniętych klęską powodzi. Rubel dołączony został do innych kwot, któreśmy na ten cel otrzymali.

Ogłoszenie.

T. Papi. (Teresa-Jadwiga)

zawiadamia szanowną Publiczność, iż przyjmuje PANNIENKI, które chcą pobierać nauki w Warszawie; daje im opiekę troskliwą i zapewnia rozmowę w obcych językach. Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 16.

OD REDAKCYI.

Przypominamy prenumeratom półrocznym i kwartalnym wczesne złożenie prenumeraty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

— Sprostowanie.— W Nrze 22 *Wieczorów Rodziny* na str. 306 szp. 2 w. 17 od dołu zamiast: roślinność się *poszerzyła*. czytaj *poruszyła*, na str. 307 szp. 1 w. 12 od dołu zamiast *zimą* jest dla nich za *ostro*, czytaj *zima* jest dla nich za *ostrą*, w. 8 od dołu zamiast *dziecinna* jesteś, czytaj: *dziecinna* jesteś.— W Nrze 23 str. 318 szp. 2 wiersz 13 od góry zamiast *pamiętniki* czytaj *pamiętki*, str. 319 szp. 1, wiersz 10 od dołu zamiast *Ludwiśiak* czytaj *Ludwisarz*.— W wierszyku na str. 320 przez omyłkę zecera strofki źle ułożone zostały. Pierwsza strofka powinna mieć w sobie 6 wierszy, następnie wszystkie po 4. W ostatniej strofeczce zamiast *pójdiesz* czytaj *pójdziem* od huśtawki.

Treść.—Dziewczynka i królik (wiersz) z drzeworytem, przez Jaskółkę.—Dramat na pensji, komedyjka w jednym akcie i dwóch obrazach, przez Zofią Hauke, (dokończenie).—Góral Kalabryjski, (z drzeworytem).—Podania o kukulce, przez Władysława Nowickiego.—Kłopoty starszeństwa, powiastka dla starszych siostrzyczek, (z drzeworytem).—Z dziejów sławy.—Rozmaitości.—Gra towarzyska.—Łamigłówki i rozwiązania.—W dodatku dalszy ciąg Historii Biblijnej przez Z. Zajczkowską.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Мая 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke**.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.